Cena egzemplarza 20 zł.

ŚWIETLICA

miesięcznik

ROK IV. WARSZAWA LISTOPAD 1948 Nr 14 (66)

ZBIGNIEW MITZNER

NA KONGRES ZJEDNOCZENIOWY PARTII ROBOTNICZYCH

ROZUM, HONOR I SUMIENIE

Piętnastego grudnia roku bieżącego zbiera się w Warszawie Kongres Zjednoczeniowy Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej. W ten sposób obie partie robotnicze Polski wkroczyły w ostatni okres likwidacji rozbicia ruchu robotniczego w Polsce. Rozbicie to na przestrzeni przeszło pół wieku powodowało osłabienie sił klasy robotniczej w jej walce o nowy ustrój społeczny.

Wielki „Proletariat", pierwsza w Polsce partia klasy robotniczej, stworzył fundamenty jedności robotniczej. Jedność ta jednak uległa rozbiciu na skutek zmagania się dwóch prądów: reformizmu i prądu rewolucyjnego w partiach robotniczych Europy. Gdy reformiści dążyli do faktycznej ugody z ustrojem kapitalistycznym, gdy objektywnie stawali się agentami kapitalizmu w obozie robotniczym, **rewolucjoniści stawiali sobie za cel obalenie kapitalizmu, ujęcie władzy politycznej w państwie przez masy ludowe i przekształcenie tego państwa w państwo socjalistyczne.**

Po raz pierwszy w historii rewolucyjny odłam ruchu robotniczego zrealizował swoje cele w ogniu Rewolucji Listopadowej w Rosji w roku 1917. W inych krajach jednak, a także i w Polsce, tendencje rewolucyjne zduszone zostały przez burżuazję, której pośpieszyły z pomocą reformistyczne, prawicowe odłamy partii socjalistycznych. Odłamy te wniosły do klasy robotniczej zarzewie bratobójczej walki, mającej zastąpić jedność robotników, wypływającą ze wspólności interesów klasowych i ze wspólnego dla wszystkich robotników dążenia do socjalizmu.

Cele swoje jednak reformiści osiągnęli tylko częściowo. **Żywiołowe dążenie do jednolitego frontu socjalistów i komunistów zawsze nurtowało w dołach PPS,** wychodząc na przeciw tendencjom reprezentowanym przez partię komunistyczną.

W okresie poprzedzającym na kilka lat drugą wojnę światową w szeregu akcji dołowych ten jednolity front komunistów i pepesowców hartował się mimo złej woli kierownictwa PPS. W okresie okupacji jednolity front PPR z lewicowym odłamem PPS stał się faktem, stwarzając podstawę dla polityki tych partii w Polsce odrodzonej.

Jednolity front PPR i PPS stał się fundamentalną zasadą, na której oparła się Krajowa Rada Narodowa, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego i wszystkie ustrojowe przemiany zachodzące w Polsce Ludowej.

Na tle tego współdziałania doszło do ścisłego zbliżenia stanowisk ideologicznych obu partii robotniczych, co umożliwiło im podpisanie w listopadzie 1946 roku historycznej umowy o jedności działania. W umowie tej przewidziano zjednoczenie obu partii, które obecnie jest realizowane. Realizacja ta dokonuje się w walce politycznej o eliminację z PPS prawicowych elementów, będących spadkobiercami jej reformistycznych tradycji, jej przedwojennej polityki i jej przedwojennego kierownictwa.

Równocześnie w PPR dokonuje się ideologiczny proces likwidacji prawicowego i nacjonalistycznego odchylenia tendencji — jak to określiła rezolucja sierpniowego plenum KC PPR — „do realizowania jedności organicznej z całą PPS, bez eliminowania prawicy, wpełzania w kompromisowość ideologiczną w akcji zjednoczeniowej z PPS, zamykania oczu na niebezpieczeństwo odchyleń nacjonalistycznych i oportunistycznych w przyszłej zjednoczonej partii."

Wszystko to oznacza, że zjednoczenie ruchu robotniczego w Polsce nie ma charakteru mechanicznego połączenia dwóch odrębnych organizacji, ale że jest ono głęboko sięgającym procesem ideologicznym. Bo chodzi o to, by nowa partia zbudowana została z takich elementów, które przezwyciężą wszystkie w przeszłości dokonane błędy w ruchu robotniczym, a jednocześnie, by oparła się na tych wszystkich doświadczeniach i osiągnięciach, które w jego historii są wartościowe; na tych elementach, które zagwarantują ruchowi robotniczemu, że nie uroni on nic ze zdobytych pozycji i że potrafi śmało i prostą drogą kroczyć naprzód do jasno wytkniętego celu.

„Nowa Zjednoczona Partia Robotnicza — powiedział sekretarz generalny PPR Bolesław Bierut — nie może i nie będzie tylko zwykłym, mechanicznym zsumowaniem liczbowym dotychczasowych sił organizacyjnych Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej. Zjednoczona Partia będzie partią nowego, wyższego etapu walki społecznej, partią o nowych zadaniach. Ma ona wzmocnić świadomość i energię twórczą mas pracujących w celu utrwalenia, pogłębienia i rozszerzenia dotychczasowych zdobyczy społecznych ludu pracującego Polski, ma poprowadzić te masy do dalszej rozbudowy i umocnienia fundamentów socjalizmu. Te nowe zadania może wypełnić tylko partia o jasnej i zdecydowanej ideologii rewolucyjnej, partia nieubłaganej walki ze spuścizną ideologiczną starego ustroju, partia stojąca twardo na gruncie teorii i praktyki marksizmu-leninizmu. Tylko taka partia potrafi natchnąć nowym zapałem twórczym szerokie masy pracujące miast i wsi, wzbudzić w całym narodzie wolę do czynu i jasną świadomość wielkich przeobrażeń demokratycznych w walce o sprawiedliwość społeczną, świadomość przemian, które torują narodowi nową — pewniejszą i wspanialszą — twórczą drogę rozwoju."

Na tych zasadach jasno określonych opierać się będzie Zjednoczona Partia Robotnicza i dzięki nim będzie mogła zrealizować stojące przed nią zadania. Partia ta musi się stać tym czym stała się Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia Bolszewików w Związku Radzieckim, którą Lenin nazwał „rozumem, honorem i sumieniem naszej epoki". Rola jej w życiu naszym, w życiu całego kraju wówczas będzie decydująca, gdy spełni ona te wszystkie stawiane przed nią postulaty.

Zadania stojące przed tą partią są wielkie: ma ona poprowadzić Polskę do realizacji ustroju socjalistycznego, ma być armią walczącą o ustrój socjalistyczny ze wszystkimi tkwiącymi jeszcze w Polsce pozostałościami kapitalizmu w dziedzinie gospodarczej, politycznej i kulturalnej. Sukcesy na tej drodze uzależnione są nie od czego innego, jak właśnie od oblicza partii. Poucza nas o tym przykład radziecki. O roli partii mówił Józef Stalin: **„We wszystkich podstawowych zagadnieniach naszej polityki wewnętrznej i zewnętrznej kierowniczą rolę sprawowała partia i tylko dlatego mieliśmy sukcesy w naszej polityce wewnętrznej i zagranicznej. Dlatego sprawa składu partii, jej poziomu ideowego, kadr partii, jej umiejętności kierowania w wysuwaniu zagadnień budownictwa gospodarczego i radzieckiego, jej ciężaru gatunkowego w klasie robotniczej i wśród chłopstwa, wreszcie jej stanu wewnętrznego w ogóle — jest podstawowym zagadnieniem naszej polityki."**

Można powiedzieć bez przesady, że w historii Polski nie było takiej klasy społecznej, nie było takiego ruchu politycznego, który by z tak wielkim przygotowaniem i z tak wielkim poczuciem odpowiedzialności kierował losami kraju, jak klasa robotnicza, zorganizowana w swojej partii politycznej. To wszystko da niewątpliwie jak najlepsze i jak najcenniejsze rezultaty. Dzięki temu Polska szybko stanie się krajem nowoczesnym, odbudowanym, uprzemysłowionym, podniesie się na wyższy poziom kultury, dając dobrobyt i szczęście swoim obywatelom. Toteż dzień utworzenia Zjednoczonej Partii Robotniczej będzie prawdziwym uroczystym, świątecznym dniem wszystkich ludzi pracy w Polsce.

Wielki ruch Czynu Przedkongresowego, zapoczątkowany przez górników kopalni Zabrze—Wschód, a podjęty przez tysiączne masy, pracowników w całym kraju, dowodzi, że tak jest naprawdę.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

CYTADELA

Na Cytadeli jest szubienica
pod szkłem.
O tym wie każda warszawska ulica
i ja wiem.

Umierali tam Pepesowcy,
SDKPiL,
umarli, zgnili —
został Cel.

I tak to pięknie — teraz — w Polsce
patrzeć, jak z krwawej ziemi
wyrastają z żywymi oczami
ludzie powieszeni:
Montwiłł, Kasprzak, Baron, Okrzeja —
to oni, na wielu krosnach...
Nadzieja!
Wiosna!

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WIERSZE WYBRANE

PIEŚŃ ROBOTNIKÓW POLSKICH

Z warsztatów, fabryk, hut
niesiemy wolny śpiew,
od lat nas dręczył głód,
płynęła ludu krew,
dziś idą nas miliony
budować Wspólny Dom
i Sztandar wznieść Czerwony
proletariackim snom.

Stanie Polska ludowa,
będzie jawa, nie sny,
bo to walka klasowa,
zwyciężymy w niej my!

Socjalizm uczył nas
jak światło wnosić w mrok,
jednoczyć serca mas
i w boju równać krok,
dziś nasze silne ramię
ostatni zada cios:
pieniądza przemoc złamie
wykuje nowy los

Stanie Polska ludowa...

Faszyzmu, krzywdy świat
roboczy depcze but,
dziś z nami Związek Rad
i każdy wolny lud,
nas kule nie ustraszą,

dźwigniemy z ruin kraj,
święcimy jedność naszą,
jak nowy Pierwszy Maj!

Stanie Polska ludowa...

ELEGIA O ŚMIERCI LUDWIKA WARYŃSKIEGO

Jeżeli nie lękasz się pieśni
stłumionej, złowrogiej i głuchej,
gdy serce masz męża i jeśli
pieśń kochasz swobodną — posłuchaj.

Szeroka, szeroka jest ziemia,
gdy myślą ogarnąć ją lotną,
szeroko po ziemi więzienia,
głęboki jak dno owej ciszy,

Już dziąsła przeżarte szkorbutem,
Już nogi spuchnięte i martwe,
już koniec, już płuca wyplute —
lecz palą się oczy otwarte.

Poranek marcowy. Jak cicho.
Jak dziwna się jasność otwiera.
I tylko tak ciężko oddychać,
i tylko tak trudno umierać.

Posępny jak mur Schlüsselburga,
głęboki jak dno owej ciszy,
zza krat, z więziennego podwórka
dobiega go śpiew towarzyszy.

I słucha Waryński, lecz nie wie,
że cienie się w celi zbierają,
powtarza jak niegdyś w Genewie:
— Kochani... ja muszę do kraju...

Do Łodzi, Zagłębia, Warszawy,
powrócę zawzięty, uparty...
ja muszę... do kraju, do sprawy,
do mas, do roboty, do partii...

ja muszę... — I śpiew się urywa,
i myśli urywa się pasmo.
Ta twarz już woskowa, nieżywa,
lecz oczy otwarte nie gasną.

Gdzieś w górze krzykliwy i czarny
rój ptactwa rozsypał się w szereg,
jak czcionki w podziemnej drukarni,
gdy nocą składali we czterech...

Fabryka Lilpopa... róg Złotej...
Żurawia... adresy się mylą..
robota... tak, wiele roboty...
i jeszcze — dziesiąty pawilon...

Ach, płuca wyplute nie bolą,
śmierć w szparę judasza zaziera,
z ogromną tęsknotą i wolą
tak trudno lat siedem umierać.

Wypalą się oczy do końca,
a kiedy zabraknie płomienia,
niech myśl, ta pochodnia płonąca,
podpali kamienie więzienia!

Raz jeszcze się dźwignął na boku:
— Ja muszę... tam na mnie czekają... —
i upadł w ostatnim krwotoku,
i skonał. I wrócił do kraju.



BALLADA O PLACU TEATRALNYM

Bezsenność. Noc. I gwar uliczny.
I mgła na placu Teatralnym.
Mój cieniu, stań i razem milczmy —
kto wie skąd lęk i czego żal nam?

Mijają dni jak woda w Wiśle,
szumiąca o czym? — o milczeniu..
Mijają dni, i trzeba myśleć,
kim jestem ja i ty, mój cieniu.

Zaklinacz słów, szarlatan uczuć,
poeta tylko, tylko błazen? —
więc tylko smutki nocą włóczyć
i trupa grać w teatrze marzeń?...

A może, — depcząc malowidła
bezpłodnych snów rekwizytorni —
oślepić cienie, zdmuchnąć widma
i wyjść na wielki plac historii?...

Niech mówi noc i gwar uliczny,
i mgła na placu Teatralnym —
tu — jeśli jęk — to jęk tragiczny,
to — jeśli krok — to krok fatalny.

Doleci echo z dna legendy
i zadrży bruk, i serce zadrży —
to szabel błysk i wrzask komendy,
ura-a! i tętent kopyt w szarży!

Kozackim cwałem, świstem kuli
osaczy groza plac rozległy —
grającą ujrzę dłoń: pięć ulic,
i teatr Wielki: lirę z cegły.

Lecz milczy pieśń o Piątym roku,
w teatrze grają „Lohengrina",
i pusty plac, we mgle i mroku,
przechodzi upiór szpiega Grüna.

Przechodzi plac i staje w bramie
pałacu Blanka (urząd śledczy),
a stamtąd milcząc patrzy na mnie
i wietrzy krew, i pieśń mą wietrzy.

On wie, że musi walczyć ze mną,
lecz jeszcze lęka się i waha...
(Jak w trumnę wbija w noc bezsenną
żelazne gwoździe krok szyldwacha).

Pod maską szpiega może skryty
jest ktoś — bez twarzy, bez imienia —
lecz myślą w Polsce znakomity,
pan wielki serca i sumienia?...

Kto jesteś?... Milczy upiór zdrady
i z oczu znika, w bramę wszedłszy,
lecz myśl podąża w jego ślady
i trupa, trupa w Polsce wietrzy...

Bezsenność. Mglista noc. Milczenie...
O, ująć teatr jak instrument
i plac, podobny wielkiej scenie,
zagłuszyć trzaskiem starych trumien!

Niech żywi i umarli zjadą
na wiec — kuligiem! — szumnie, gwarnie,
cmentarną, buczną maskaradą
defensyw, więzień i trupiarni!

Kuligiem! — z pieśnią, sztandarami —
na plac — ze stoków cytadeli!...
A upiór zdrady czyha w bramie,
jak zawsze pierwszy w tłum wystrzeli!...

W burzliwy ranek rewolucji
on zdradzi serca i rozumy,
pomiesza słowa, myśli skłóci,
zatriumfuje znów nad tłumem,

wśród trupów będzie tkwić jak pomnik,
wzniesiony katom i mordercom,
aż pamięć klęski my, potomni,
wyrwiemy — choćby razem z sercem!...

W dwudziestym czwartym, piątym, szóstym
ja byłem w tłumie wśród masakry:
na placu zakrawawionym, pustym,
pozostał cień, co świat mi zakrył,

i kiedy tłum po szarży znikał
wśród ulic, które z krzykiem biegły,
cień stał nad trupem robotnika
o teatr wsparty: lirę z cegły...

Od lat, od lat u stóp teatru
misterium dziejów gra się krwawe,
od lat chce upiór pieśń mą zatruć
i pieśnią runąć na Warszawę,

lecz ja, staczając bój z upiorem
o trupi plac i lirę trupią,
do ręki żywe serce biorę,
by chłeptał krew mój cień, mój upiór.

Gdy cienia zdrady krwią nasycę,
natenczas pieśń, co trwogi nie zna,
zuchwała leci na ulice
i wiedzie tłumy, zła, drapieżna,

na plac Czerwony, Teatralny,
gdzie krzyczeć umie bruk uliczny,
gdzie — jeśli krok — to krok fatalny,
a jeśli jęk — to jęk tragiczny.

MAGNITOGORSK ALBO ROZMOWA Z JANEM

Siedzę z Janem w trzynastej celi
na Ratuszu, pośrodku miasta,
trzy dni temu razem nas wzięli,
posadzili, trzymają i basta.

Na podłodze sen nasz nie lekki,
zupę dali, że pies jej nie zje,
Jana chroni pancerz dialektyki,
mnie — leciutki obłok poezji.

Smród, robactwo, ciężkie chrapanie...
Ano — różnie w życiu się darzy.
Ktoś nabazgrał węglem na ścianie:
„Niech żyje walka piekarzy!"

Ja — cóż? Gwizdać! Siedzę od piątku,
mogę siedzieć tak choćby miesiąc,
ale Jan ma katar żołądka
no i lat bez mała sześćdziesiąt,

trzeba jego hartu i woli,
żeby ważyć to sobie lekce,
no bo człowiek, gdy go brzuch boli,
zapomina i o dialetyce!

Siedzę, siedzę, liczę godziny,
Jan się zdrzemnął, o ścianę wsparty,
nad globusem jego łysiny
zaświtało kwadrans po czwartej.

Stęknął, ocknął się i beztrosko
wyprostował zgarbione plecy:
„Wiesz — powiada — w Magnitogorsku
dziś ruszają dwa wielkie piece"...

Świt był szary, pełznął niechętnie,
jakby mieli go zarżnąć nad miastem,
i myślałem sobie: „Jak pięknie
w tej parszywej celi trzynastej".

I o Janie myślałem jeszcze,
i gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie Polska,
i płonęły w śledczym areszcie
wielkie piece Magnitogorska.

PIĘĆDZIESIĘCIU

Październikowy mrok, jak kat,
nad śpiącym miastem groźnie stanął,
wśród pustych ulic świszcze wiatr,
stukają buty SD-manów
i jak bredzenie ciężko chorych
przelata ulicami miasta
październikowa noc Szesnasta
z rykiem motorów. Czy upiorów?

Warszawa nie śpi, okiem okien
rachuje auta: siedem... osiem...
Warszawa nie śpi, bo — drapieżna —
przyczaja się w udanym śnie,
a sen Warszawy — to jej gniew,
a wtedy czuwa i snu nie zna.

Zerwanych mostów nie wyminą
pociągi, rezerw nie dowiozą:
już tydzień przy skręconych szynach
brzuchami świecą parowozy
i zamarł wszelki ruch na wschód,
cały garnizon trwa pod bronią,
tylko patrole, tak jak wprzód,
chodzą z pistoletami w dłoni,
tylko po mieście, tak jak zwykle,
złowrogo trzeszczą motocykle...

Październikowa noc okrakiem
stanęła — czemu? — nad Pawiakiem,
rozlała śmierć po więźniów twarzach
przez kraty przepuściła świt,
a wtedy — tupot w korytarzach
i w każdej celi klucza zgrzyt!

Apel pośpieszny, apel krótki,
jak salwa: „Alle raus" — i wtem
jak słowo, które w gardle utkwi,
ten dzień zaprzestał być już dniem.

Ich wszystkich było pięćdziesięciu,
Wiązano grupy po dziesięciu
i pchano siłą w paszcze aut,
a potem — Wola, Włochy, Dworzec...
Nad wszystkim bujał, jak proporzec,
dopełniający się już gwałt.

O patrz, Warszawo, to są ci,
za których się historia mści,
to oni wolą nieugiętą
uczyli nas, jak żyć, jak bić się,
jak gardzić życiem, kochać życie,
ażeby syn i wnuk pamiętał...

O patrz, Warszawo, toż to tamci,
którzy nas mieli zmiażdżyć, stłamsić,
przed nasz są powołani sąd,
by im wyrokiem wskazać krwawym,
że siła podłych nie jest prawem,
że to bluźnierstwo, że to błąd.

Ich było tylko pięćdziesięciu,
z Powiśla, z Woli byli wzięci,
z warsztatów pracy, fabryk, hut...
To oni każdą z bruku cegłą
o wolność bili się, o lud,
o chleb nasz i — o Niepodległą!

Ich było tylko pięćdziesięciu,
lecz po nich poszły nas miliony
w wojennym szczęściu i nieszczęściu
ku dniom, tak wtedy oddalonym.

Ich było tylko pięćdziesięciu,
a myśmy zaciskali pięście...

Obywatele, towarzysze,
nic więcej o nich nie napiszę...

PIEŚŃ MAJOWA

Znasz ty Warszawy oblicze,
jej nieśmiertelne piękno,
gdy zdawało się, że serce jej pękło,
a ono świeciło zniczem
woli, nadziei, męstwa,
nieśmiertelnego czynu?
Oto ona — posąg zwycięstwa —
urąga własnym ruinom!

A znasz ty Łodzi oblicze,
Łodzi złej, robotniczej,
groźne, uparte, zacięte
w walce o chleb, o warsztat,
o godność, o bruki miasta,
o prawo człowieka święte?
Ona jest pracy posągiem!
Patrz — ręce kominów wyciąga.

Znasz ty Zagłębia potęgę,
Śląsk, co jak krater dymi?
Patrz: na okręty w Gdyni
ładują węgiel!

Rośnie kraj. Skrzypią wyciągi
Z ruin podnoszą się miasta.
Płyną okręty. Pędzą pociągi.
Dzień nam roboczy nastał!

Przeto dziś o poranku majowym
podzielimy się dobrym słowem,
pójdziemy, radośni i prości,
czerwienią sztandarów skrzydlaci,
sercami drogę wymościć
tej, co za krew nam zapłaci —
Wolności!

NA ŚMIERĆ REWOLUCJONISTY

A z tej celi pustej i chłodnej
trzeba będzie niedługo odejść,
jeszcze spojrzeć w niebo pogodne,
jeszcze spojrzeć za siebie — w młodość.

Już za chwilę przyjdą żandarmi,
wyprowadzą bez słowa z celi...
Trzeba umieć, jak żołnierz armii,
iść spokojnie pod mur cytadeli.

Ach, umierać nie będzie ciężko,
chociaż serce ma lat dwadzieścia —
niezłamane codzienną klęską,
dziesięć klęsk, dziesięć kul pomieści!

Bo jest życie piękniejsze, nowe,
i żyć warto, i umrzeć warto!
Trzeba nieść, jak chorągiew, głowę,
świecić piersią kulami rozdartą,

trzeba umieć umierać pięknie,
patrzeć w lufy wzniesione śmiało!...
Aż się podłe zadziwi i zlęknie,
aż umilknie łoskot wystrzałów.

KSIĘŻYC ULICY PAWIEJ

Piękny księżyc ulicy Pawiej,
jak jajeczna chała żółciutki,
skąd miał wiedzieć, że jest w Warszawie
mały krawiec, Izaak Gutkind?

Jak księżyc we wszystkich miastach,
wschodził nocą, zachodził rano.
Wtenczas ojciec otwierał warsztat,
tramwajami dzwonił Muranów.

Wychowało Icka podwórko
trzypiętrowej warszawskiej biedy:
smród i handel, handel i turkot —
Icek podrósł nie wiedzieć kiedy.

Ciężkie życie: śledź, kawał chleba,
tygodniami nic więcej prawie.
Bardzo smutno patrzył się z nieba
piękny księżyc ulicy Pawiej.

Mały Icek szybko podrastał —
nie każdemu wolno być dzieckiem —
nie miał jeszcze lat jedenastu,
kiedy został uczniem krawieckim.

Szył i myślał: — Jaką by igłą
przyszyć księżyc, ten guzik złoty? —
a tymczasem żelazko stygło,
ojciec krzyczał: — Pilnuj roboty! —

Tak minęło lat sześć czy siedem,
rosły dni jak łata na łacie,
ojciec klepał krawiecką biedę,
nagle rankiem zmarł przy warsztacie.

W życiu ludzkim są różne smutki,
trzeba długo uczyć się życia.
Mały krawiec, Izaak Gutkind,
cóż on miał prócz swego szycia?

Ale pilnie ślęczał nad książką,
rozjaśniało się w Icka głowie,
powiedzieli mu dużo w związku
zawodowym na Muranowie,

a najwięcej bieda krawiecka
na Nalewkach, Pawiej, na Gęsiej,
nauczyła Icka od dziecka,
jak się zmagać trzeba z nieszczęściem.

W książkach były nieznane słowa.
— Co to znaczy — Icek pytał —
„proletariat", „walka klasowa",
„burżuazja", „wielki kapitał"? —

Tłumaczyli mu krawcy starsi,
za co krew robotnicza płynie,
powiedzieli wszystko o Marksie,
o Liebknechcie, Róży, Leninie...

Związek właśnie rozpoczął akcję
przeciw nowej obniżce płacy,
były strajki i demonstracje,
wielki wiec na Bankowym placu.

Icek Gutkind stał z transparentem,
kiedy była szarża policji.
Wzięli Icka z uchem rozciętym
do więzienia prosto z ulicy.

Siedzi Icek już czwarte lato,
ciężki wyrok dostał na sprawie.
Na wolności świeci za kratą
piękny księżyc ulicy Pawiej.

Zajrzy w okno, pójdzie gdzie indziej,
świecić Dzikiej i Karmelickiej...
Co on wie o Icku Gutkindzie,
kto z nas wie, co się dzieje z Ickiem?

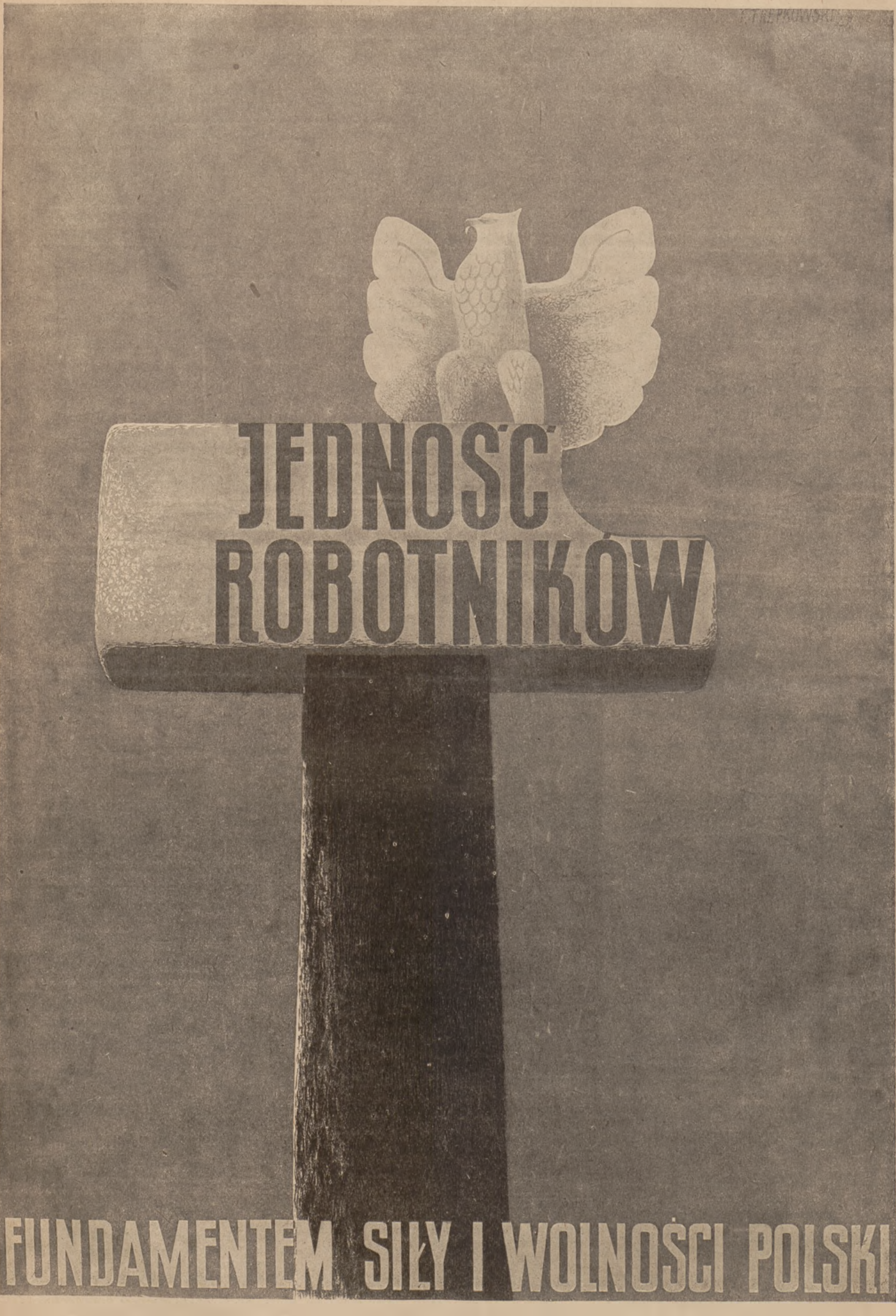
Na Pawiaku już krawców wielu,
W życiu ludzkim są liczne smutki,
Jeszcze rok... Nowy strajk w Murdzielu *)
poprowadził towarzysz Gutkind!

P o s t - s c r i p t u m:

(Icek pisze do mnie w liście
tak jak dawniej prosi o wiersze:
„Towarzyszu Broniewski, napiszcie
coś o celi dwudziestej pierwszej...")

---

*) Murdziel — dzielnica Muranowska.


JEDNOŚĆ
ROBOTNIKÓW
FUNDAMENTEM SIŁY I WOLNOŚCI POLSKI

ALBERT SOULILLOU

PIEŚŃ SŁONECZNA HUTNIKA z CHALON w BURGUNDII

BURGUNDIA położona niedaleko wschodnich granic Francji, jest jedną z najbogatszych jej prowincji. Rodzi pszenicę, kukurydzę i wino, a poza tym posiada niewielkie złoża węgla kamiennego. Wsławiona jest jednak Burgundia przez swoje winnice, obejmujące ponad 30 000 hektarów. Miasto **Chalon** — sur — **Saone** (31 000 mieszk.), gdzie pracuje bohater utworu, hutnik burgundzki, leży nad rzeką Saukoną, która wpada do Rodanu w mieście **Lyon.**

Tysiąc czterysta stopni! Ja mieszam! Jam jest człowiek, który miesza trzydzieści ton ognia!

Tysiąc czterysta stopni. Przez otwór kotła ja mieszam jarzącą jamę mojego pieca, grzmiącą czeluść mojej Etny, wrzącą otchłań mej pracy.

Gdy patrzę przez moje błękitne szkiełko widzę jak oto w kotle Genezy kipi szmaragd, szafir i jadeit.

Gdy patrzę bez mego błękitnego szkiełka widzę jak oto w fantastycznej kadzi Stworzenia wre rubin, ametyst, złoto, opal i diament.

Widzę jak cała ziemia, ludzkość cała przetapia się na kryształ.

Śnię nieraz, że chwytam oto człowieka, że wrzucam go do kotła i że widzę jak staje się masą kryształową.

Śnię, że przemieniam duszę człowieka na kryształ.

Tysiąc czterysta stopni! Ja mieszam!

Aż ochrypłe gazy, wdmuchiwane gwałtownie, kotłują się niby gniewne wybuchy.

Na lawie z rubinów tańczy piana z diamentu pękająca na powierzchni bańkami.

Tysiąc czterysta stopni! Ja mieszam! Jam jest człowiek, który miesza trzydzieści ton ognia!

Ja jestem hutnik burgundzki.

*

Ja jestem hutnik burgundzki i oto głoszę cud mojej Burgundii, która daje wino i daje szkło,

która daje Wino, Ogień i Szkło

ogień Wina i Ogień na szkło,

Burgundia daje węgiel kamienny od strony Blanzy,

daje sód od strony Tavaux

daje dolomit od strony Meursault,

daje piach znad Saukony,

a ja oto biorę owe wszystkie wystygłe pierwiastki kuli ziemskiej i wymierzam je i kruszę je i wygniatam je i zwalam je do pieca ognistego z doby przed Stworzeniem.

A robię to w moim mieście nad Saukoną,

albowiem była tu rzeka co nanosiła piachu,

albowiem był tu kanał co woził węgiel,

albowiem były tu szyny i szosa co woziły resztę, a które odwoziły potem to wszystko co wyrobiłem z tej masy płomiennej,

a robię to tutaj właśnie w moim mieście Chalon nad Saukoną,

albowiem dzieje się to w samym sercu kraju winnic.

*

Ja jestem hutnik burgundzki.

Przestaję z żarem jak winogradnik przestaje ze szronem.

Mnie nawiedzają sierpniowe nawałnice nieba sierpniowego, jego orkany nieba sierpniowego.

Mnie nęka plaga świerzbu sodowego, jego plaga siarczanowego świerzbu.

Ja czynię kadzie pełne ognia, on kadzie pełne wody ognistej.

Ja oglądam w mojej kadzi kipiel żywiołów podglebia, on kipiel soków podglebia.

Tysiąc czterysta stopni. Ja mieszam.

Ja odnalazłem ogień Genezy.

Ja odnalazłem żary, które rodzą materię.

Ja odnalazłem lawę, która tworzy kontynenty.

Ja odnalazłem od nowa tygiel kruszców i skał.

Ja odnalazłem tajemnicę krzyształu rzeczy i istot kryształu.

Ja jestem hutnik burgundzki.

*

A powiadam, że skała mojej Burgundii nakarmiła latorośl winną,

i powiadam, że latorośl winna dała wino,

i powiadam, że skała Burgundii oddała sama siebie,

iżby dać butelkę,

i powiadam, że nie lepiej sam Bóg rozkruszył, zamiesił, zagniótł, przetopił i zlał Burgundię, niźli ja bym to uczynił,

i powiadam, że sam Bóg nie lepiej ode mnie byłby umiał rozkruszyć, zamiesić, zagnieść i stopić to szkło,

i powiadam, że ta flaszka, z której nalewacie sobie przy stole wino, aby pić,

jest krwią ziemi, jest ogniem ziemi, jest piachem ziemi, jest ziemią ziemi,

tą ziemią, którą płonącą ja właśnie mieszam,

i powiadam, że ta ziemia Burgundii płonąca, co ma stać się szkłem,

na te lęki swoje i męki zdaje się jedynie po to, by mogła krwi własnych swoich winnic zachować jej moc,

i powiadam, że ta ziemia stająca się kryształem, aby zawarła tę winnic krew, która jej jest krwią — staje się

świętą Ampułką z pełną krzyżma na wyświęcenie swoich win ogłoszonych królami wina.

*

Więc powiadam i mieszam i ładuję,

iżby było zawsze ton ognia trzydzieści, kilo ognia trzydzieści tysięcy, funtów ognia sześćdziesiąt tysięcy,

i to pomimo upływ ciasta płomiennego, co ścieka na drugą stronę do wirujących form,

ten upływ syropu ognistego co ścina się w krople,

upływ — stalaktyt czerwony a skraplany bez końca piętnaście tysięcy razy dziennie,

stale skroplony a zwisający stale jedną jedyną wielką kroplą dla każdej kropli co wiruje, akurat podjeżdża pod nią i zbiera,

z fenomenalną mechaniczną precyzją, która aż wprawia w zachwyt,

precyzją powtórzoną w jeden i ten sam dzień piętnaście tysięcy razy,

powtórzoną z tak automatyczną jednostajnością, że aż upaja.

Oto oszołomienie, że piętnaście tysięcy razy idealnie o oznaczonej sekundzie forma przejeżdża akurat pod kroplą ognistego syropu i zbiera ją i wiruje dalej,

i przyjmuje w siebie dech co przepaja uwięzioną już teraz kroplę lawy, dech, co ją wzdyma,

ta forma właśnie co wiruje wraz z pięcioma towarzyszkami na płycie tego samego okrągłego stołu,

a która rozwiera się niebawem niby mieniący się złociście owoc granatu,

i przelewa to, co stało się jej miąższem ognistym do formy innej co otwarła się, by zawrzeć go w stalowym uścisku,

formy, co wirują również z pięcioma innymi towarzyszkami na płycie innego okrągłego stołu,

piętnaście tysięcy razy identycznie to samo spotkanie,

tak identyczne, że aż upaja,

że owa jednostajność i automatyczna precyzja staje się oszołomieniem, zawrotem głowy, upojeniem, wyzwoleniem od zastanowienia i myśli, hipnozą, zatraceniem i przepaścią.

*

Więc wiruje forma i nowy oddech przenika ten zarys materii rozżarzonej i nadyma go i rozpłaszczając powleka nim zewsząd ścianki wewnętrzne gorsetu ze stali i zaczyna mu nadawać profil własny i kształt,

a i piętnaście tysięcy razy ta forma również roztworzy się zaraz niby mieniący się złociście owoc granatu,

i piętnaście tysięcy razy inna znów forma podjedzie idealnie o oznaczonej sekundzie i rozwarłszy się akurat na wysokości tamtej formy żelazną chwyci ręką ukształconą już butelkę, niby wydłużoną bańkę rubinową,

i piętnaście tysięcy razy ta trzecia forma popłynie swoją dalszą drogą wraz ze swymi pięcioma towarzyszkami na płycie trzeciego okrągłego stołu,

i piętnaście tysięcy razy, akurat przez mgnieniu półobrotu okrągłego stołu, ostatni już oddech ukształci butelki dno,

i piętnaście tysięcy razy roztworzy się forma znowu niby mieniący się złociście owoc granatu,

a na taśmie, która ją unosi, zatraci butelka czerwień rubinu, aby nabrać zieleni szmaragdu,

albowiem z lawy staje się szkłem,

albowiem z piaskarni, z kamieniołomu, z kopalni,

albowiem ze strumienia, z łona węglowego ziemi, z wapiennych wąwozów górskich,

albowiem z rzeki, z ziemi i z ognia stała się szkłem,

stała się butelką.

Grom! gazy kopalne! lawa!

oto straszliwa trójca, która odzwierciedla butelka,

a odzwierciedla ją tak wiernie, że pomyślałbyś, iż uczyniono ją ze szkła tego samego, które tworzy oko nasze,

a z trójcy owej,

z owej trójcy: węgla kamiennego, szkła i wina,

z owej trójcy: chodnika kopalni, pieca i upalnego wzgórza,

z owej trójcy górnika, hutnika, winogradnika,

z owej trójcy gazów kopalnych, lawy i nawałnicy,

ja, hutnik szklarski z Chalon nad Saukoną w Burgundii,

ja z niej jestem.

Więc z tego przetopienia węgla kamiennego, piachu i skały,

z tego pieca ognistego z czasów przed Stworzeniem,

z tego kotła pełnego smaragdu, szafiru i jadeitu, kiedy patrzę przez moje szkiełko błękitne,

z tego kotła rubinu, ametystu, opalu, diamentu i złota, kiedy patrzę gołym okiem w jego czeluść,

z tej kadzi pełnej piachu, węgla kamiennego, skały i zwykłego sodu,

zwyczajnego piachu, zwyczajnego węgla kamiennego, zwyczajnej skały i zwyczajnego sodu, z których ja tworzę dymantu pełną kadź,

ja wyjmuję butelkę.

*

Ja jestem hutnik z Chalon nad Saukoną w Burgundii,

a brałem ci piach rzek,

i brałem węgiel kopalni,

i brałem sód oceanów,

i brałem magnezję oceanów,

i przerobiłem je z powrotem na rozżarzone błocko,

i przerobiłem je z powrotem na płomienną kaszę wulkaniczną,

i z tego grzmotu żarzących się gazów ponad falami ognistymi i diamentową pianą

ja wyjmuję butelkę na wino mojej Burgundii,

ja, hutnik z Chalon nad Saukoną.

*

A kiedy śnię, widzę jak cała ziemia i ludzkość cała przetapia się na kryształ górski,

na kryształów kryształ,

a kiedy śnię, chwytam człowieka i wrzucam go do kadzi i widzę jak się staje masę kryształową,

ja śnię, że duszę człowieka przemieniam w kryształ.

Czyż nie pragniesz stać się przezroczysty a czysty jak kryształów kryształ,

ty mężu co stoisz tam i ty niewiasto?

Przyjdźcie, iżbym chwycił was i wrzucił was do tej mojej kadzi pełnej diamentu,

a czy wolicie, iżbym patrzył na was przez moje szkiełko błękitne,

co uczyni was ze szmaragdu, z szafiru i z jadeitu?

wolicie może, iżbym patrzał na was gołym okiem,

co uczyni was z ametystu, rubinu, opalu i złota?

Ależ musiałem wam napędzić jednak porządnego strachu samym tylko pomysłem przemienienia dusz waszych na kryształ!

Nie lękajcie się przecież tak bardzo, ty mężu, co stoisz tam, ani ty niewiasto,

ja jestem tylko hutnik z Chalon nad Saukoną w Burgundii, a z mojej fantastycznej kadzi diamentowej,

wyjmuję jedynie butelki.

*

Ależ butelka taka jest z trójcy rzeki, kopalni i wzgórza,

butelka taka jest z trójprzymierza węgla kamiennego, huty szklarskiej i winnicy,

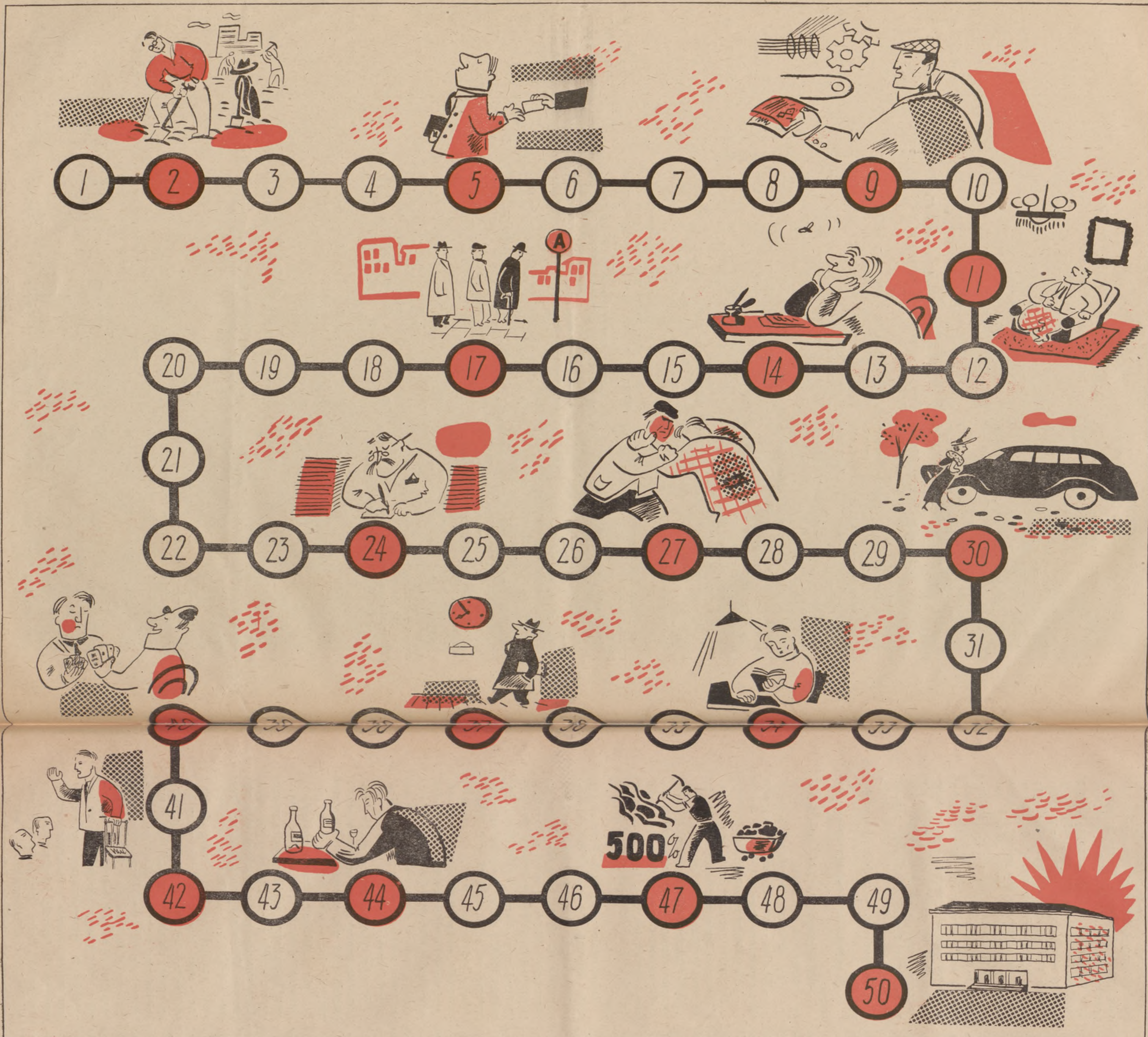
mozół wyrobienia takiej butelki jest z trylogii gazów kopalnych, lawy i nawałnicy,

a nie wszyscy są z tej trójcy,

j a k j a, h u t n i k z C h a l o n n a d S a u k o n ą w B u r g u n d i i.

(z francuskiego przełożył **Allan KOSKO)**

Do Wspólnego Domu (gra towarzyska)



DO WSPÓLNEGO DOMU

(2) Drogie dzieci, każdy to wie,
że choć trudne są początki,
kto pomaga w odbudowie
skacze naprzód do dziesiątki.

(5) Mówi: Niech diabli wezmą łapówki!
Lecz diabłów niema, więc sam je bierze.
Nic nie pomogą żadne wymówki —
trzeba poczekać na pierwszym numerze.

(9) Technikę udoskonalaj
dzięki niej oszczędzasz czas ty...
dojdziesz szybciej, pewniej, dalej!
Skacz od razu na dwunasty!

(11) Lubi dymek papierosa
miękki fotel, twardą drzemkę,
lubi też zadzierać nosa,
wróci za to na siódemkę.

(13) Siedzi na czternastce nierób,
cofnąć go o pięć numerów!

(17) Jesteś skromny? — pocóż wiersze...
Naprzód na dwudziesty pierwszy.

(24) Biurokrata tu poczeka
przez trzy rzuty. Musi! Fakt!
Inni idą wprzód, daleko,
— on sporządzić musi akt.
Idziesz naprzód drogi chłopie,
a on — nie! On robi kopie!

(27) Droga twoja dużo kłód ma,
ot cyfra dwudziesta siódma.
Za głupią hultajską bójkę
wracasz na dwudziestkę dwójkę!

(30) Ten służbowy piękny wóz
nie na spacer będzie wiózł,
Wracaj sobie, wracaj stąd ty
na numer dwudziesty piąty.

(34) Przyjaciela w ręce dał ci
los. Najlepiej książka kształci.
Za to żeś w nauce kuty,
możesz zrobić cztery rzuty!

(37) Chodź do pracy punktualnie!
Jak się spóźnisz, będzie żal, nie?
Widać masz do pracy chęć —
skaczesz na czterdzieści pięć!

(40) To doprawdy kiepskie żarty
tracić czas na głupie karty.
Zasłużysz na jedną z kar ty —
cofnij się — trzydziesty czwarty.

(42) Ma przed sobą wciąż słuchaczy
mówi, uczy i tłumaczy...
Za swe pożyteczne słowo
ma dwa rzuty dodatkowo!

(44) Pijak stary,
wódką struty,
przeczeka za karę
aż cztery rzuty.

(47) A teraz nagroda u końca drogi:
Pracą, nauką, skromnością, kolego,
zwalczyłeś w sobie zgubne nałogi —
Doszedłeś niechybnie do Domu Wspólnego!

ODWIEDZAMY ŚWIETLICE!

JERZY PYTLAKOWSKI

TU TRZEBA ATAKOWAĆ!...

Ten kraj jest piękny. Uroda jego egzotyczna, bardzo zwyczajna, tak powszednia, że aż często, niezauważana przez mieszkańców i wędrowców, urzeka swym poważnym, nieco melancholijnym spokojem. Teren lekko falisty, nie na tyle jednak, by niezbyt bliski horyzont zamykał przed patrzącymi oczami rozległe widoki. Mieszane lasy, o tej porze wielobarwne, pola wciąż jeszcze różnokolorowe, niewielkie jeziorka odbijające niebo, zielone łąki i pastwiska. Szosa wije się delikatną serpentyną; boczne, polne drogi dochodzą do niej, przecinają ją i znikają dalej, wśród pól, za wzniesieniem, czy też zasłonięte mroczną ścianą sosen. Od czasu do czasu mijamy osady i wsie, bezludne niemal: za samochodem gonią hałaśliwe kundle, koło parkanów kręcą się dzieci. Ludzie są na polu: kopią ziemniaki, orzą, sieją, zbierają kapustę.

Mieszkańców ziemi białostockiej absorbują te same prace, którym oddają się jesienią rolnicy całej Polski. Na nasz pomalowany na niebieski kolor duży samochód, prawie nikt z pracujących nie zwraca uwagi. Są pochłonięci swymi czynnościami, zapamiętale powtarzają te same ruchy, zgięci, pochyleni, walczą z czymś czego nie dostrzegamy. Wyglądamy przez okna samochodu i nagle napełnia nas uczucie wstydu: jedna z kobiet prostuje się. Ociera pot z czoła ubrudzoną w ziemi dłonią. Dostrzegamy wyraźnie smugi pyłu, jakie zostawia ten dotyk na skórze. Zdaje się nam, że zostaliśmy schwytani na gorącym uczynku popełnienia nietaktu: my podglądaliśmy ludzi w czasie ich walki z ziemią. Oczy kobiety, patrzącej na nas, miały wyraz znużenia...

* * *

Majątek państwowy Rudka (powiat Bielsk Podlaski) jest obiektem średniej wielkości i zatrudnia prawie czterdziestu fornali tak zwanych ordynariuszy. Prócz uprawy roślin, w Rudce jest również stacja hodowli owiec, która w przyszłości ma zostać znacznie powiększona. Administrator chętnie wtajemnicza nas w plany produkcyjne majątku i zaznajamia z trudnościami już pokonanymi, które były niemałe. Białostocczyzna bowiem podlegała swoistym „prawom" i podczas gdy niemal cały kraj już pracował normalnie, tutaj warunki obiektywne nie sprzyjały pracy. Dopiero od roku sytuacja poprawiła się na tyle, że można mówić o produkcji rolnej w Rudce w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Administrator jest już człowiekiem starszym i, zdaje się, widział nie jedno i nic nie zdoła go wyprowadzić z równowagi. W jego interpretacji opowieść o chwilach minionych, bardzo dramatycznych w gruncie rzeczy, jest splotem takich sobie zwykłych, nie wiele znaczących wydarzeń. Okres bandyckich działań na terenie powiatu bielskiego, gdy śmierć często zaglądała do oczu spokojnych ludzi, pragnących tylko pracować, dla niego już dawno skończył się i niemal jakby nie istnieje w ogóle. Wylicza maszyny, którymi dysponuje majątek, konie, krowy, wreszcie chlubi się owcami. Oprowadza nas po stodołach i oborach, cytuje liczby hektarów ziemi już obsianej i zaoranej, ilość tegorocznych zbiorów. Traktor z przyczepką naładowaną słomą mija podwórze, konie ciągną brony w kierunku pola, w kuźni słychać uderzenia młotów: naprawia się uszkodzony siewnik. Przed naszymi oczami przesuwa się legion ludzi pracujących na roli, jako ilustracja słów administratora.

Na ogół Rudka uczyniła na nas korzystne wrażenie. Jednak nie we wszystkim...

Bardzo zaniedbany park otacza piękny pałac. Ów pałac ma niemiły wygląd: nie spalony przecież, ani zniszczony, tylko pozbawiony okien, podłóg, drzwi, dachu, czyli poprostu rozszabrowany. Ściany wewnętrzne aż roją się od najróżnorodniejszej treści, najczęściej niecenzuralnych napisów i rysunków. Parter zamieniony na składy paszy i... stajnię owiec. Administrator, widząc nasze nietęgie miny, tłumaczy, że brak funduszów uniemożliwił nie tylko remont pałacu, lecz także konserwację. Słowa jego tchną prawdą: konserwacji rzeczywiście nie ma. Ściany, zamokłe od niedawnego deszczu, gniją. Jak dalej tak pójdzie pałac najprawdopodobniej rozpadnie się w kawałki. A przecież nie cierpimy na nadmiar budynków. We wsiach brak pomieszczeń dla szkół, dla świetlic, dla domów ludowych.

— Był projekt urządzenia w pałacu — mówi administrator — szkoły rolniczej. Potem postanowiono uczynić z niego dom ludowy...

— Projekty się zmieniają — zauważamy — a pałac niszczeje...

Pytamy o świetlicę. Majątek zatrudnia przecież czterdziestu ludzi. Majątki państwowe winny być ośrodkami kultury rolniczej, oświaty, nosicielami nowego stylu życia i pracy na całą okolicę.

Świetlica oczywiście jest. Tylko z kluczami mamy nieco kłopotu. Chodzimy z administratorem po biurze, po jego mieszkaniu i szukamy kluczy, które zapodziały się niewiadomo gdzie. Wreszcie znajdujemy je. Świetlica mieści się w jednym z drewnianych czworaków. Jest to niski, szeroki i długi budynek pokryty gontami, o małych oknach i brudnym tynku. Dopiero jednak wnętrze jego swym wyglądem sprawiło nam prawdziwą przykrość. Sala nawet dość przestronna. Tylko że okna brudne, w rogach, pod sufitem, gęste zwoje pajęczyny. Na ścianach portrety dostojników, parę papierowych chorągiewek o barwach narodowych, na podłodze ławy, jeden stół i w kącie niewielka etażerka... W powietrzu unosi się stęchła woń wilgoci, tak jakby sala wiele dni była zamknięta, niewietrzona i pusta.

Rudka, podobnie jak okoliczne wsie, nie jest zelektryfikowana. W świetlicy nie ma więc radia. Gorzej wszakże, że nie ma w niej również pism, nie mówiąc już o książkach. Są tylko broszury „Czytelnika" i „Wiedzy" z serii „Rolnicza biblioteczka". Broszury te leżą w równych stertach na etażerce. Jest ich nawet sporo. Innych książek nie ma. A i tych, które są, prawie nikt nie czyta. Instruktor kulturalno-oświatowy Zarządu Głównego PNZ odwiedził także Rudkę. Obiecał książki, nawet radio i co najważniejsze, przyrzekł przysłać instruktora świetlicowego. Od tego czasu upłynęło kilka miesięcy i nic się nie zmieniło. Nie znaczy to oczywiście, żeby pracownicy majątku Rudka czuli się pokrzywdzeni z powodu niedotrzymania obietnicy przez instruktora Zarządu Głównego. Oni ciężko pracują. To fakt. Sprawa kupna butów czy czegoś z odzieży wciąż jeszcze stanowi dla nich trudny do rozwiązania problem. Zagadnienie ukulturnienia wsi, tak samo zresztą jak przemysłowych ośrodków wytwórczych, rozpatrywane w oderwaniu od sytuacji ekonomicznej jest nonsensem. Jednak większe terenowe skupiska przemysłowe i niektóre wiejskie posiadają już swe życie kulturalne, mimo ciężkich warunków bytu i zadawnionych niechęci do czytania, słuchania muzyki i prelekcji. Instruktor świetlicowy w wielu wypadkach potrafił zwalczyć mur tej niechęci...

Wiejskiego instruktora świetlicowego spotkaliśmy na jego placówce, również w majątku państwowym, na terenie powiatu płockiego, w folwarku Pilichowo.

Staliśmy otoczeni pracownikami majątku i gospodarzami ze wsi na przestronym podwórzu folwarcznym, dokoła którego wznosiły się zabudowania gospodarskie. Kierownik świetlicy, młody człowiek, fornal, skończył niedawno kurs instruktorski i teraz prowadzi tutejszą świetlicę. Pilichowo ma swój radioodbiornik w świetlicy widnej i czystej. Właśnie teraz zawędrowała tutaj ruchoma biblioteka. Książki wypożycza się bezpłatnie na okres tygodnia. Własnych książek Pilichowo nie posiada. Pytamy zebranych, jakie książki czytali. Jednak rozmowa nie idzie łatwo. Kierownik świetlicy tłumaczy, że teraz dużo roboty w polu, ludzie wracają do domów przemęczeni... Wreszcie jedna z młodych niewiast, zmieszana i jednocześnie uśmiechnięta, oświadcza, że czyta, jeszcze nie skończyła, książkę o jednym mężczyźnie, który siedział w niemieckim więzieniu i którego bito co godzinę.

— On siedział za... — tu dziewczyna zająknęła się.

— Za politykę — podpowiada młody mężczyzna.

— Tak, za politykę. To bardzo piękna książka — wtrąca inna, tęga kobieta.

— Pani też czyta tę książkę? — pytamy.

— Nie. Ona — wskazuje na tę pierwszą — czyta nam czasem głośno.

— Ale jaki tytuł tej książki?

Dziewczyna nie może sobie przypomnieć. W końcu, po długiej chwili namysłu mówi, że coś „spod szubienicy"...

I znów rozmowa schodzi na braki i niedotrzymane obietnice. Przydałyby się szachy, piłka do siatkówki. O prelekcjach nie ma w ogóle mowy. Zresztą jest radio. I tak nie często go słuchają gdyż z czasem jest ciężko. Więcej w zimie...

Sprawa wcale nie jest prosta. Praca w polu bardzo absorbuje. Od wielu lat pielęgnowane wiejskie nawyki spędzania krótkich chwil wolnego czasu nie są łatwe do zwalczenia. Przyznam się jednak, że opinia pracowników majątku Pilichowo o książce Fucika „Reportaż spod szubienicy", dla mnie najpiękniejszej, najbardziej ludzkiej i pozytywnej spośród przeczytanych po wojnie, sprawiła mi dużą satysfakcję. Chociaż panna Janeczka nie pamiętała autora ani tytułu, zachowała w pamięci, tak jak i inni, przeżycie tej lektury, które jest przecież najważniejsze... Oczywiście, to kropla w morzu. kropla osiągnięć w morzu odłogów, które na wsi trzeba zaorać, odłogów w dziedzinie kulturalno-oświatowej.

Zima jest najodpowiedniejszą porą na przypuszczenie generalnego szturmu na gnuśność, bierność ludzi wsi, pracujących jak mrówki, lecz wciąż jeszcze zamkniętych w swoim małym światku. Szkolenie instruktorów wiejskich, ożywienie kontaktu między wiejskimi działaczami kulturalnymi i miejskimi, wykorzystanie poprzez wiejskie świetlice nauczycielstwa wiejskiego, wreszcie kredyty, wzmożenie akcji odczytowej, organizowanie rozmów o czytelnictwie, o książkach, o muzyce, malarstwie, zwalczanie analfabetyzmu — oto, moim zdaniem, formy ataku, których ośrodkiem winny być wiejskie świetlice. Najlepsi aktywiści przemierzają wsie i starają się tłumaczyć ludziom sens spółdzielczości wytwórczej. Dla sprawy przebudowy struktury gospodarczej wsi wybitni działacze znajdują czas, nie wahają się jeździć po najbardziej zabitych deskami dziurach i mówić w nich. A przecież kultura i oświata jest największym sprzymierzeńcem przebudowy form produkcji rolnej. Trzeba mieć całe rozporządzalne siły do walki o kulturę wsi. Chłop musi czytać i chcieć czytać, słuchać muzyki, poznawać obce kraje drogą lektury i odczytu.

I to jest do zrobienia... I to powinno być zrobione jeszcze tej zimy.

Wiersze i pieśni na Zjednoczenie Partii Robotniczych

K. I. GAŁCZYŃSKI

PIEŚŃ NA ZJEDNOCZENIE PARTII

NASZA PIEŚŃ to najprostsza jest nuta,
naszą pieśń śpiewa miasto i wieś
i pod strop jak kolumna Zygmunta
z serc miliona wystrzela ta pieśń;

my nad Wisłę i Odrę i Nysę
jasne jutro niesiemy bez chmur,
robotniczą i chłopską ojczyznę
budujemy, wznosimy jak mur —

laur uwieńczy naszą walkę,
plon stokrotny wyda trud,
dał nam przykład Świerczewski Walter,
jak się walczy za partię i lud.

Zjednoczeni na chwałę stuleci,
rozśpiewani jak morze i wiatr
robotnicy, żołnierze, poeci
my z tą pieśnią idziemy przez świat;

chwała tym, co w uporze wytrwali,
tylko upór przybliża nam cel,
my jak w słońce wejdziemy w socjalizm
z naszą flagą, gdzie czerwień i biel,

laur uwieńczy naszą walkę,
plon stokrotny wyda trud,
dał nam przykład Świerczewski - Walter,
jak się walczy za partię i lud.

LEOPOLD LEWIN

PIEŚŃ ZJEDNOCZONEJ PARTII

Każdy, kto serce ma nieulękłe,
Zdolne do wielkiej ofiary,
Wszystko, co w Polsce młode i piękne
Idzie pod nasze sztandary.

Partia — pogromca faszyzmu.
Partia — przewodnik mas,
Do szczęścia, do socjalizmu
Partia prowadzi nas.

Z hut i warsztatów, z fabryk i sztolni
Ludzie ofiarni i prości,
Chłop i robotnk, dzisiaj już wolni,
Razem — do Partii Jedności.

Partia — pogromca faszyzmu...

Z krzywdą klasową, z nędzą, wyzyskiem
Bić się uczymy za młodu —
Partia prowadzi, Partia jest wszystkiem,
Partia jest wodzem narodu.

Partia — pogromca faszyzmu...

Jedna podąża wielka rodzina
Z fabryki, huty, warsztatu
Pod sztandarami Marksa - Lenina
Do szczęścia proletariatu.

Partia — pogromca faszyzmu.
Partia — przewodnik mas,
Do szczęścia, do socjalizmu
Nasza partia prowadzi nas.
Do socjalizmu
Nasza partia prowadzi nas.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

MOST PONIATOWSKIEGO

Drogi zburzone,
Miasta w ruinie,
historia
gnie nas i łamie,
lecz — „nie zginęła",
nigdy nie zginie,
my ją dźwigniemy
sami!

Sterczą pod niebo
gruzy Warszawy,
wre robota
nad rumowiskiem:
z gruzów zwycięstwa,
z odłamków sławy
most budujemy
przez Wisłę.

Lud,
co przed wrogiem
karku nie schylał,
dźwiga za przęsłem przęsło.
Filar pod niebo!
Łuki na filar!
Wzwyż!
W dal!
W socjalizm!
W zwycięstwo.

Most — narodowi,
roboczym masom,
niech przezeń przejdą
wojskiem.
Trzeba zapału,
trudu i czasu.
Most budujemy:
Polskę.

LEON PASTERNAK

NAPRZÓD, LUDU ROBOCZY!

Krew nasza przelana za szczęście ludzkości,
czerwienią zwycięstwa zakwitła.
Idziemy w pochodzie braterskiej jedności,
okrzepli w niejednych już bitwach.

Naprzód, ludu roboczy!
Rozwijaj sztandary bojowe!
Wspólna nas walka klasowa jednoczy,
— do walki o życie idź nowe!

Gołymi rękami od młota i pługa,
lud nieraz ojczyznę ocalił.
I wszędzie, jak ziemia szeroka i długa
lud walczył — panowie zdradzali.

Naprzód ludu roboczy!...

Wrogowie i ziemię i niebo poruszą,
by wrócić rząd wojny i głodu.
Lecz my zwyciężymy, bo z nami w sojuszu
jest Związek Radzieckich Narodów.

Naprzód ludu roboczy!...

Kilofem i kielnią posługuj się biegle,
pieśń pracy niech grzmi nad ojczyzną.
Zakasaj rękawy i cegła po cegle
wznoś piękny nasz gmach socjalizmu!

Naprzód, ludu roboczy!...

STANISŁAW WYGODZKI

PIEŚŃ JEDNOŚCI

Jedna jest droga, jeden jest sztandar
ten, który w boju wiódł do zwycięstwa,
siła się rodzi — Czerwony Sztandar
klasy roboczej, hartu i męstwa.

Jedność się rodzi pracy i dumy
Polski roboczej, jakiej nie było,
Sztandar Czerwony trudu i dumy
wyżej wzniesiemy klasową siłą.

Wielkość się rodzi, dłoń podaj w boju
jedność i jedność walki i zwycięstw,
ona nas łączy w pracy i boju
mocna jak Partia silna jak życie.

Z naszej jedności
pokój wyrasta,
z naszej jedności
wyrosną miasta
i nasza jedność
wezwaniem światu —
jedność, jedność
proletariatu.

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

PIEŚŃ KLASY ROBOTNICZEJ

By głowę podnieść, by łańcuch skruszyć,
by naszych pleców nie deptał but.
Klasę walczących proletariuszy
sztandar czerwony do boju wiódł.

Zorza rozbłysła złota w oddali,
wiatr na ulicach kłębi się młody.
Budujemy socjalizm,
zbudujemy socjalizm
my — bojownicy swobody.

Myśmy bronili miasta nad Wisłą,
kiedy faszyści przez Polskę szli.
W walce o wolność, w bitwie o przyszłość
nie żałowali wyklęci krwi.

Zorza rozbłysła złota w oddali...

Na rusztowania — ludu roboczy!
Proletariuszu, dziś władzę masz.
W socjalistyczne jutro niech kroczy
czołowy oddział ludowych mas.

Zorza rozbłysła złota w oddali...

JACEK BOCHEŃSKI

* * *

Zaśpiewali towarzysze — raz, dwa, trzy,
że są w partii robotniczej — tak jak my,
że są w partii zjednoczonej — stąd ten śpiew
że sztandary ich czerwone — niby krew.

*

Zaśpiewają przy robocie — w każdy dzień
bo nie zbywana ochocie — nikt nie leń.
gdy wykonać trzeba plany — sam za trzech
każdy jest zapracowany — to nie śmiech.

*

Zaśpiewają pieśń pokoju — a w ich ślad
cały lud zaśpiewa swoją — cały świat,
na zwycięstwo robotnikom — wszystkich ras,
na śmierć katom i łotrzykom — z możnych klas.

POLA GOJAWICZYŃSKA

Zmiany w życiu

inscenizacja **Stanisława Nadzina**

Osoby: Matka, robotnica na fabryce tkackiej
Stefka, jej córka
Ojciec chrzestny Stefki.

Rzecz dzieje się na przełomie 1947/48 roku w Łodzi.

Biednie umeblowany, ale schludnie uprzątnięty pokój w mieszkaniu robotniczym. W głębi prowizoryczny piec kuchenny. Matka krząta się, przygotowując kolację. Po chwili — słychać dzwonek „kręcony"— u wejścia.

MATKA

(podchodząc do drzwi wejściowych) Kto tam?

STEFKA

(z sieni) To ja, mamo... Otwórz!
(Matka otwiera drzwi)

STEFKA

(wchodząc) Dobry wieczór.

MATKA

Dobry wieczór, Stefko... Rozbierz się, umyj ręce... Kolacja zaraz będzie. (wraca do przyrządzenia kolacji).

STEFKA

(zdejmując płaszcz) Spóźniłam się trochę.. Wracając ze sklepu, wstąpiłam do chrzestnego. Ale on sobie w najlepsze pojechał do Katowic. I nawet nie powiedział nam, że wyjeżdża...

MATKA

(z udanym oburzeniem) A rzeczywiście! (innym tonem) To ty myślisz, że on niczego innego nie ma na głowie, tylko nas?

STEFKA

(naiwnie) Czy on ma także chrześniaczkę w Katowicach?

MATKA

(upominająco) Stefka!.. Pojechał tam na remont maszyn, przecież to mechanik.

STEFKA

Ach, tak!... (po chwili) Niech mama to zostawi! Czy ja nie mogę zrobić kolacji? (myje ręce w misce, stojącej w rogu na taborecie). Przez cały dzień haruje mama w tej fabryce, a ja...

MATKA

No — a ty? Też przecież dopiero wróciłaś z pracy...

STEFKA

E, tam!.. Tyle tylko, że przez dziesięć godzin odsiaduję za ladą.

MATKA

A co, czy nie macie ruchu?

STEFKA

Ruch trupka w grobie.

MATKA

(karcąco) Nie mów tak! Czy nie możesz odpowiedzieć po ludzku? (po chwili z troską) Ale jak macie taki mały ruch, to Lipczyńscy gotowi jeszcze zamknąć interes..

STEFKA

A niech sobie zamykają! (wytarłszy ręce, chce jej pomóc przy gotowaniu) Mama da, pomogę...

MATKA

Nie trzeba.. Zresztą — weź żurek ze słoika i wlej do drugiego garnka.. Tylko zamąć go, żeby nie był taki rzadki. Wszystka mąka opadła na dół...

STEFKA

(robiąc, co jej kazano) Ja i tak od Lipczyńskich odejdę!

MATKA

(zaniepokojona) A co? Nie są z ciebie zadowoleni? Wymówili ci?

STEFKA

Nie, nie wymówili.

MATKA

Może ci jest za ciężko?

STEFKA

Też nie... Tylko — ja nie mogę tak tkwić na jednym miejscu. Właśnie w tej sprawie zachodziłam do chrzestnego. Chciałam się go poradzić.

MATKA

(z odcieniem wyrzutu) Ale chrzestnego nie ma, więc...

STEFKA

I tak zresztą — postanowiłam już!

MATKA

Postanowiłaś?... co?

STEFKA

Mam przecież praktykę, kwalifikacje... Pójdę do Domu Towarowego. Mama przecież wie — PDT remontuje cały dom na Piotrkowskiej. Mówiła mi Władka, że do nowego sklepu potrzebne są ekspedientki.

MATKA

(po chwili) No, cóż?... Możesz spróbować... Ale czy ty wiesz, że tam pensja będzie mniejsza, a pracy — napewno więcej? U Lipczyńskich miałaś spokój...

STEFKA

I co z tego? U Lipczyńskich niczego już się nie mogę spodziewać. A tam — nawet jeżeli z początku mniej dostanę — mogę awansować. Zacznę chodzić do szkoły wieczorowej. Jak Władka... A jak się uprę, to zrobię jeszcze maturę! Pamięta mama, jakeśmy planowały nieraz, że po wolnie będę się jeszcze uczyć?

MATKA

To prawda....

STEFKA

(siada przy stole) Więc teraz — wszystko to sobie obmyśliłam. W samym sklepie też się więcej nauczę. Wejdę między ludzi.

MATKA

Ty sama wiesz, co ci odpowiada lepiej... Ja ci nie odradzam. Tylko chcę, żebyś wiedziała, jak to jest. Tam będą ceny niskie, ludzie się rzucą, będziecie mieli wielki ruch. Nie będziesz przesiadywać za ladą... Jeśli myślisz o korzyściach, to pomyśl, że ciężką pracą to sobie zdobędziesz. Nogi ci popuchną, ramiona omdleją... Będziesz miała takie troski, jakby to był twój sklep. Gdy zobaczysz, że towar wykupiony, że z fabryk nie nadchodzi w porę, (z niewesołym śmiechem) gotowa będziesz własną matkę naglić...

STEFKA

(zaniepokojona) Co też mama...

MATKA

A widzisz! (innym tonem) Podaj mi, Stefka, słoninę.

STEFKA

(podaje słoninę z półki, po chwili) Można nakrywać?

MATKA

Proszę... Ukrój tylko chleba... (po chwili) A jeszcze— czy nie żal ci Lipczyńskich? Czy to będzie ładnie, że ich tak zostawisz?

STEFKA

(krając chleb, a potem — nakrywając do stołu) Owszem, żal. Ale cóż z tego, mamo? Każdy myśli o sobie, oni też — urządzając się tak, jak im korzystniej... (nagle, ostro) Dobrzy to oni są! Dziurki nie zrobią, ale krew wypiją.

MATKA

(karcąco) Nie mów tak, to każdy potrafi. Przypomnij sobie, że jeszcze tak niedawno pani Lipczyńska z ust ci nie schodziła. Ciągle o niej mówiłaś: „A pani Lipczyńska to, a pani Lipczyńska tamto..."

STEFKA

To prawda.. (po chwili — przerywa nakrywanie do stołu, stopniowo zapalając się) Ale niech mama sama powie — czy ja mam powody żałować ich — przecież to bogacze! W sklepie coprawda pustki, ale mieszkanie mają zawalone różnymi rzeczami, które za pół darmo skupują od biedaków... „Na wszelki wypadek, — jak sami mówią, — jeżeli czasy się zmienią..." Mama sama sprzedawała im nieraz materiał, który dostawała na premię. Dawali mame grosze, a jeszcze pan Lipczyński mówił: (przedrzeźniając go) „Pani, pani Michalska, dostaje premie, a ja co? Teraz wszystko dla świata pracy, dla robotników.." Mieszkają lepiej jeszcze niż przed wojną. A jeśli nie trzymają służącej, to tylko dlatego, że pani Lipczyńska nie chce, żeby im ktoś obcy do garnków zaglądał. Ich córka chodzi na uniwersytet, a mnie się dziwią, że chcę się uczyć: „Pisać i rachować umiesz — poco ci więcej?"

MATKA

(nakłada jedzenie z garnka na dwa talerze, stawia na stole): Siadaj, Stefka, jedz!...

STEFKA

(siada do stołu, po chwili — zatroskana) Ja wiem: będę zarabiała mniej... Będzie nam trudno.

MATKA

(także siada do stołu) O tym nie myśl...
(Obie przez chwilę jedzą w milczeniu)

MATKA

Wezmę dodatkowe krosna, wyrobię...

STEFKA

(gwałtownie) O czym mama?

MATKA

No wiesz przecież... U nas w fabryce jest dużo takich, co pracują nawet na ośmiu krosnach. Ja pracuję teraz na czterech, a wezmę — sześć.

STEFKA

(j. w.) Niech mama da spokój! Mówiłyśmy już o tym kiedyś — to nie dla mamy!...
(Znów chwila milczenia; jedzą)

MATKA

Mogę przecież spróbować... Tylko dwie maszyny więcej a—jaki zarobek! Starczy nam wtedy napewno...

STEFKA

(z wyrzutem) Mamo! Widzę, że mama całkiem zapomniała o swojej astmie!...

MATKA

(gwałtownie) Jakiej astmie? Co znowu! Raz się zadyszałam — a ty zaraz: astma! (po chwili, łagodnie): Zresztą, ja się nie upieram... Będziemy szukały jakiegoś wyjścia.. Chociaż innego sposobu, żebym zarabiała więcej — nie widzę.

STEFKA

(prawie z rozpaczą) Ach, Boże, Boże... (po chwili, wstając od stołu) Pozmywam...

MATKA

Nie będziesz więcej jeść?

STEFKA

Nie...
(Odstawiają talerze na kuchnię, Stefka składa obrus)

MATKA

(po chwili) Gdyby nas ktoś podsłuchał, myślałby, że się kłócimy...

STEFKA

(czule) Mamo!...

MATKA

Wiem, wiem, córuchno... Wiem, że mnie kochasz... I ja ciebie też... bardzo!..
(Dzwonek u drzwi wejściowych)

MATKA

Kto to może być?

STEFKA

Ja otworzę.
(Idzie do drzwi, otwiera je. Wchodzi chrzestny)

STEFKA

(radośnie) A — to chrzestny!

CHRZESTNY

Dobry wieczór, Antonino! Dobry wieczór, Stefka!...

MATKA

Dobry wieczór...

STEFKA

A ja dziś zachodziłam do chrzestnego. Mówił! chrzestnemu?

CHRZESTNY

Nie, ja — prosto z kolei...

MATKA

To może Józef coś zje?... Stefka, nakryj!

CHRZESTNY

Nie, dziękuję... Zaszedłem tylko na chwilę. (poważnie) Chciałem powinszować sukcesu.

STEFKA

Jakiego sukcesu?

CHRZESTNY

To wy o niczym nie wiecie? Masz tobie raz!... Kupiłem w pociągu gazetę, a tu — na trzeciej stronie, na honorowym miejscu, — o proszę!
(Rozkłada na stole gazetę)

STEFKA

(nachylając się nad gazetą czyta) „Przodownicy wyścigu pracy... przemysłu włókienniczego..."

CHRZESTNY

(pokazując palcem) Tu czytaj, tu!... Fotografia, a pod nią podpis...

STEFKA

(j. w., z rosnącym zdumieniem) „Robotnica Łódzkiej Państwowej Fabryki Tkackiej Nr 2, Antonina Michalska, pracująca na ośmiu krosnach, wyrabia ponad normę..." (zanosi się nagłym płaczem) Mamo, mamo!..

MATKA

(tuląc ją) Stefciu, córuchno moja! Uspokój się...

STEFKA

(z wyrzutem, przez łzy) Mamo, jak mama mogła... Tak siebie nie szanować!... Z mamy zdrowiem...

MATKA

(j. w.) No już, cicho... cicho...

CHRZESTNY

To — jak to? Tyś o niczym nie wiedziała?... Że matka od pół roku na ośmiu maszynach robi?

STEFKA

Nie, o niczym... A chrzestny?

CHRZESTNY

(z dumą) A jakże! Kontroluję jej przecież regularnie maszyny! (wesoło) Ho, ho! Bez mojego doglądu — wątpię, czy tak by chodziły i czy — osiągnęłaby takie wyniki. Połowa zasługi — moja!

MATKA

(zgodliwie) Pewno, pewno...

CHRZESTNY

(z odcieniem troski) Ale, mówiąc poważnie, Antonino, tego się po tobie wcale nie spodziewałem. Winszuję, z duszy — serca! Winszuję... (po chwili) Tylko, powiedz prawdę — bo tak jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy spytać — jak ty sobie dajesz z tym radę?... Czy nie za ciężko?...

MATKA

(po chwili z wysiłkiem w głosie) A ciężko, to prawda...

CHRZESTNY

(j. w.) Jak z twoim zdrowiem?

MATKA

A no tak!... Nie czuję się ani silną, ani zdrową. Ale ataków nie mam... Leci...

STEFKA

(surowo) Mamo, czy mama aby mówi prawdę?

CHRZESTNY

(karcąco) Stefka!

MATKA

Co ty? Czy mogłabym tak pracować — inaczej?!

CHRZESTNY

A jak z tymi papierosami od astmy?—Przydają się?

MATKA

(z ożywieniem) Niech sobie Józef przedstawi — po prostu — zapomniałam o nich. Któregoś dnia sięgam do kieszeni fartucha po chustkę i dopiero wtedy przypomniałam sobie... Wykruszyły się całkiem!...

CHRZESTNY

Bywa... (po chwili, w zadumie) Rozmaitymi drogami zdobywa człowiek świadomość... Jeden na wiecach, drugiego pouczy towarzysz, ktoś inny zdobywa ją z książki, przez mozolne poszukiwania... Ja wiem, Antonino: wzięłaś się za swoją robotę, aby zdobyć lepszą przyszłość dla Stefki, a zaszłaś — Bóg wie dokąd! Znalazłaś się w samym środku walki, w samym jej sercu... Walki klas, walki, która ma już za sobą całą historię we wszystkich krajach świata i którą ty prowadzisz na swoim odcinku, stojąc przy swoich krosnach... (po chwili, innym tonem) Ale — ja się tu zagadałem, a w domu na mnie czekają...

MATKA

Niech Józef posiedzi jeszcze. Może herbaty?

CHRZESTNY

Dziękuję, pójdę już. No, Antonino, trzymaj się! (ściska jej rękę) Życzę dalszych sukcesów w pracy! Dowidzenia!...

MATKA

Dziękuję Józefowi, że do nas zaszedł.

CHRZESTNY

Dowidzenia, Stefka!... Możesz być dumna ze swojej matki!

STEFKA

Dowidzenia...
(Wychodzi, odprowadzony do drzwi przez Stefkę)

MATKA

(siedzi przy stole, po chwili) A teraz kładźmy się spać! Już późno...

STEFKA

(stojąc na środku pokoju) Mamo!... (widocznie chce coś powiedzieć, ale nie może znaleźć odpowiednich słów dla wyrażenia swojej myśli)

MATKA

(jakby ośmielając ją) No widzisz, Stefka... Niepotrzebnie się tylko martwiłaś. Wszystko — poszło dobrze. Zarabiam teraz całkiem przyzwoicie... Nawet już trochę pieniędzy odłożyłam. Będziesz mogła pracować, gdzie zechcesz. I — uczyć się!... (po chwili) No, dlaczego nie mówisz nic, Stefka?

STEFKA

(przypadając do kolan matki) Mamo!..

MATKA

Co, Stefciu?

STEFKA

(z wyrzutem) Ale dlaczego mama nigdy mi o tym nie wspominała?

MATKA

Tak jakoś... nie składało się. Zresztą — ile razy zaczynałam mówić, że chcę wziąć dodatkowe krosna, ty zawsze — ze swymi obawami o moje zdrowie... Nie chciałam cię po prostu martwić. A ostatnio, kiedy już miałam dobre wyniki, to znowu myślałam sobie: „Czy to co ważnego? I tak się kiedyś dowie..."

STEFKA

(j. w.) Tak ciężko mama pracowała w fabryce, a jeszcze — w domu zajmowała się gospodarstwem. Prawie, że nie dawała mama sobie pomóc!...

MATKA

(gładząc ją po głowie) Nie rób mi już wyrzutów, córuchno! Wiesz, z czym było mi przez cały ten czas najciężej? Z tym właśnie, że nie miałam się przed kim wygadać...

STEFKA

(j. w.) No widzi mama!...

MATKA

Ile to razy chciało mi się, wróciwszy do domu, powiedzieć: „A, spracowałam się dziś, wszystkie kości mnie bolą!..." Łaknęłam tego, jak chory, któremu jęk przynosi ulgę... Ale nie mogłam się zdecydować... Ani poskarżyć się, ani pochwalić... Powiedzieć na przykład: „O, dzisiaj mi poszło! Widzisz — daję sobie radę..."

STEFKA

(cicho i b. czule) Przepraszam cię, mamo...

MATKA

(tak samo) To nic, nic, córuchno... (innym, mocnym tonem) Słyszałaś, co powiedział chrzestny? „To jest walka"! A walka — każda jest trudna. Tylko w trudnej walce odnosimy zwycięstwa.

(KURTYNA)

UWAGA! UWAGA!

Termin nadsyłania prac konkursowych został przełożony

na dzień 1 lutego 1949 r.

Szczegóły:

patrz w numerze poprzednim!

DO KIEROWNIKA ŚWIETLICY

LIST SZÓSTY

Staramy się, jak dotąd, by każdy numer „Świetlicy" zawierał aktualne materiały, związane z żywymi, bieżącymi wydarzeniami w naszym kraju. Poza tym prowadzimy stałe rubryki nastawionej raczej na długofalową pracę oświatowo-kulturalną. Do rubryk takich należą na przykład: wskazówki Jana Kotta „Co czytać" i „Jak redagować gazetkę świetlicową", uwagi Jana Rybkowskiego „O teatrze w świetlicy" i „Jak dekorować świetlicę" i kilka innych rubryk. Począwszy od niniejszego numeru, wprowadzamy nową rubrykę: „Odwiedzamy świetlice!" — Rubrykę tą, zapoczątkowaną dzisiaj przez Jerzego Pytlakowskiego, pragniemy osiągnąć podwójny cel. Po pierwsze: zobaczyć „na własne oczy" rezultaty naszej dziennikarskiej działalności u Was w terenie, by wyciągnąć potem wnioski co do dalszego charakteru „Świetlicy" i po drugie: pokazać na przykładzie konkretnych świetlic w terenie, gdzie i dlaczego jest dobrze i gdzie i dlaczego jest źle, abyście, Wy, Kierownicy świetlic, mogli korzystać wzajemnie z doświadczeń w pracy.

Do wspólnego redagowania rubryki „Odwiedzamy świetlice!" zapraszamy wszystkich bywalców świetlic. Autorzy zamieszczonych listów otrzymają honoraria według ustalonych stawek. Główną jednak zachętą do pisania listów winna być troska o własną świetlicę. Tylko drogą ujawniania niedociągnięć i trudności można osiągnąć pożądaną poprawę. Piszcie więc do rubryki: „Odwiedzamy świetlice!"

Opóźnienie w ukazaniu się niniejszego numeru „Świetlicy" wynikło z wyżej wspomnianej zasady nawiązywania do bieżących wydarzeń w naszym kraju. Pragnęliśmy, bodaj częściowo, przyjść Wam z pomocą w zorganizowaniu wieczoru w świetlicy, który by słowem, inscenizacją i pieśnią uświetnił na Waszym świetlicowym terenie święto Zjednoczenia Klasy Robotniczej w Polsce. I dlatego odłożyliśmy na później, przygotowane już materiały do bieżącego numeru „Świetlicy", pomyślanego początkowo jako numer poświęcony zagadnieniom wsi, by dać pierwszeństwo materiałom wiążącym się bezpośrednio lub pośrednio z historyczną datą 15-go grudnia 1948 roku.

Znaczenie tej daty omawia w artykule wstępnym Zbigniew Mitzner. Podstawą części artystycznej wieczoru winny być, jeżeli wybierać jedynie z niniejszego numeru „Świetlicy", wiersze Władysława Broniewskiego oraz pieśni wyróżnione na konkursie ogólnokrajowym, a zamieszczone przez nas wraz z nutami.

O współzawodnictwie pracy powie inscenizacja utworu: „Zmiany w życiu", znanej Wam wszystkim powieściopisarki, Poli Gojawiczyńskiej. Niewielka ilość osób (trzy) oraz skromne dekoracje umożliwią opracowanie niniejszej sceny w krótkim czasie.

„Pieśń słoneczna", kolejny numer Waszego programu artystycznego, to poetyczna pochwała pracy hutnika. Napisał ją Francuz, Albert Soulillou (czytaj Sulilu). Sądzimy, że „Pieśń" znajdzie żywy oddźwięk wśród naszych hutników, a u wszystkich słuchaczy wzbudzi większy jeszcze niż dotąd szacunek dla pięknego zawodu hutnika. Inscenizacja tego utworu wymaga recytatora o doskonałej dykcji i szlachetnym, szczerym patosie.

Z utworów zamieszczonych w poprzednich numerach „Świetlicy" radzimy włączyć do programu wieczoru 15 XII. 1948 r. inscenizację „Wspólny Dom".

W numerze niniejszym otrzymujecie trzecią z kolei grę. Pewną inowacją, prócz tematu i rozwiązania graficznego, są wierszyki zamiast dotychczasowych objaśnień prozą. Napiszcie co o tym myślicie.

Jan Rojewski

GŁOSY ŚWIETLICZAN



DO

REDAKCJI MIESIĘCZNIKA „ŚWIETLICA"

Warszawa

My, mieszkańcy wsi Kromolice, a zwłaszcza Zespół Świetlicowy Zw. Zaw. Rob. i Prac. Rolnych w Kromolicach przeżyliśmy w dniu 22 sierpnia 1948 r. jeden z swych najpiękniejszych i najważniejszych dni w życiu. W tym to dniu zjechało do nas Polskie Radio, by transmitować na całą Polskę ciekawą audycję pt. „Miasto — wsi".

Po transmisji odbyły się Dożynki, w których brała udział ludność z całego powiatu śremskiego. Przesyłam dwa zdjęcia z prośbą o możliwe ich zamieszczenie w miesięczniku „Świetlica". Pierwsze zdjęcie grupowe: Zespół Świetlicowy w nerwowym napięciu oczekuje chwili, kiedy będzie mógł się popisać przed mikrofonem, wykonując ludową pieśń żniwną.

Zdjęcie drugie: Kierownik świetlicy, sekretarz Zw. Zaw. Rob. i Prac. Rolnych ob. Biadała Marian przed mikrofonem w chwili kiedy rzuca na fale eteru słowa, że tylko w Polsce Ludowej jest możliwe, że Radio odwiedza ludzi pracy.

Dzień ten pozostawił niezatarte wrażenia w umysłach mieszkańców Kromolic.

Zw. Zaw. Rob. i Prac. Rolnych RP
Koło Kromolice
pow. Śrem



KOMUNIKATY

AKCJA WALKI Z ANALFABETYZMEM

Ukazały się w druku nakładem Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych następujące podręczniki z zakresu walki z analfabetyzmem:

1. „Uczmy czytać" — Jak należy uczyć dorosłych czytania i pisania. Stron 88. Cena 120.— zł.
2. „Start" — Nauka czytania i pisania dla dorosłych (elementarz). Stron 112. Cena 70.— zł.
3. „Przewodnik dla nauczających według elementarza Start". Stron 56. Cena 50.— zł.

Do nabycia w Wydziale Wydawniczym Zarządu Głównego TUR, Warszawa, Al. Róż 7. Konto czekowe PKO. Nr I-6355.

„PORADNIK SPOŁECZNY"

Ukazał się podwójny nr. 26—27 (79—80) „Poradnika Społecznego", którego treść nawiązuje do Kongresu Zjednoczeniowego Partii Robotniczych. Zadania organizacji społecznych w obliczu zjednoczenia Ruchu Robotniczego omawia artykuł sekretarza generalnego Głównej Komisji Koordynacji Organizacji Społecznych J. Bogusza. Szereg artykułów stanowi cenny materiał dla pracy organizacji masowych. Sprawy świetlicy wiejskiej omawia artykuł W. Jeżowskiej.

Artykuł A. Kulika analizuje wyniki wyborów prezydenta Stanów Zjednoczonych. H. Kassyanowicz omawia prace sesji ONZ i udział w nich Polski.

W obszernym dziale poświęconym zagadnieniom Związku Samopomocy Chłopskiej znajdujemy m. inn. artykuły sekretarza generalnego ZSCh posła Bodalskiego.

Całość numeru dopełnia dział materiałów oraz kronik: politycznej, gospodarczej, kulturalno-oświatowej, oraz związków zawodowych i organizacji społecznych.

WYDAWCA: GŁÓWNA KOMISJA KOORDYNACYJNA ORGANIZACJI SPOŁECZNYCH.
REDAKTOR: JAN ROJEWSKI. ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, AL. NIEPODLEGŁOŚCI 164, POKÓJ 9. TEL. 423-07.
KONTO P.K.O. I-7174, PRENUMERATA KWARTALNA 60 ZŁ. PÓŁR. — 120 ZŁ. ROCZNA — 240 ZŁ.
GODZINY PRZYJĘĆ: WTORKI I PIĄTKI, od 12-ej do 13-ej.

Druk. PWZG Warszawa, Tamka 3. Zam 3024. B-65.817